

Sztuka noszenia masek

Hubert
Fryc



Gaucka

**Sztuka
noszenia
masek**



Fot. Agnieszka Fiejka

Hubert Fryc

Rocznik 1990. Debiutował w 2014 roku opowiadaniem w „Nowej Fantastyce”. W 2018 ukazała się jego powieść obyczajowa pod tytułem *Szeptać*. Nagrywa podcast *Ludzie przez przypadki*. Studiował filozofię, pracuje i mieszka w Krakowie, ale często wraca do rodzinnej Półwi.

Hubert Fryc

**Sztuka
noszenia
masek**

Lauka
2021

Copyright © Hubert Fryc, 2021
Copyright © wydawnictwo JanKa, 2021

Wydanie I – cyfrowe
[fregment]
Pruszków 2021

ISBN 978-83-62247-83-7

Tym, którzy wciąż nie mają odwagi, żeby robić
dopiski w swoich prywatnych scenariuszach.

(...)

W rodzinie układało nam się normalnie, czyli kiepsko.

Dziadek po śmierci babci porzucił picie i wrócił do chłania. To różnica jak między sportem amatorskim i zawodowym, zupełnie inne obciążenia i balansowanie na granicy wytrzymałości. Mama celebrowała swój smutek, pielęgnowała jak delikatny kwiat, który otrzymała w prezencie od męża.

Dziwny to był dom. Jakiś taki za duży, jak spodnie po grubasie. A przez to pusty, niewypełniony. I cichy. Chyba że akurat dziadek darł mordę po pijaku, a mama trzaskała drzwiami albo płakała w łazience. Ale w tych krzykach, w trzaskach i łkaniach też kryła się cisza. Niemy bezruch, flauta. Nieskończona stagnacja, napędzana identycznymi dniami.

Dziadek wstaje chwiejnie, skacowany, nieogolony, śmierzdzący, idzie do sklepu, wraca obładowany piwem i wodą, pije piwo i wódę, śpi na stole, budzi się, drze się, że kurwa tak dłużej nie będzie; nie wiadomo, o co mu chodzi, on sam nie wie, macha rękami, wali pięścią w stół. Potem kładzie się na kanapie, wstaje, je coś albo nic nie je, wychodzi na miasto, idzie się upadlać ze starymi sierotami po komunie, wraca, nie myje się nawet, zasypia na łóżku albo półleżąc na stole. On był już wtedy meblem, niczym więcej, skrzypiącym, rozchwievanym i gnijącym od środka.

Mama wstaje rano, na śniadanie płacze, potem wychodzi do pracy, tam się jakoś trzyma, bo uczniowie, bo nauczyciele, dyrektorka, obowiązki, wiadomo. Wraca po południu, na obiad płacze, siada do sprawdzianów albo kartkówek, krótko przygotowuje się do lekcji na następny dzień, na kolację płacze, idzie spać.

Kiedy chodziłem do drugiej klasy, mama umawiała się z kolegą z pokoju nauczycielskiego. Franek czy Janek, facet w jej wieku, historyk. Widziałem go ze dwa razy, nie miałem wyrobionego zdania. Wysoki, choć niższy ode mnie, uśmiechnięty, uprzejmy, nijaki. W sam raz dla mamy, żeby miała się komu wypłakać, bo to płkanie dla samej siebie było rozłożonym w czasie samobójstwem. Ale coś nie wyszło. W naszym domu nigdy nic nie wychodziło – za to z domu się wychodziło, i wtedy było najlepiej.

Dziwny to był dom. Za duży. Rzadko siadywaliśmy razem, prawie nigdy. Kuchnia pusta, salon pusty, chyba że akurat dziadek nieświadomie zawędrował na sofę albo na taboret przy stole, żeby tam pokiwać się pijacko, pomamrotać. Nie zgrywały się nasze harmonogramy i rytmy dobowe. Mijaliśmy się w ciszy, w żalu. Pięknie potrafiliśmy się nie dogadywać bez słów. Nie było w naszym zachowaniu złości ani umyślnej czy nieumyślnej nienawiści. Nie było miejsca na nienawiść, bo całą przestrzeń, każde pomieszczenie, zajmowała pustka. Pisałem o tym Hannie, Hanna to czytała i nic więcej się nie działo. Nie oczekiwałem współczucia.

Nie mogę powiedzieć, że czegoś żałuję. Zastanawiam się tylko, co by było, gdybyśmy potrafili w tych naszych samotnościach się odnaleźć gdzieś w połowie drogi. Może właśnie w kuchni przy stole albo w salonie na kanapie? Niechby i w ciemnym przedpokoju. Gdybyśmy tak zgrali nasze harmonogramy i nie polegli na próbach ugładzenia alkoholizmu, krzyków, płaczów i trzaskania drzwiami. Gdybyśmy w ogóle te próby podjęli.

Tymczasem w naszym domu każdy miał swój mały domek, swoją kuchnię i salon, łazienkę i przedpokój. Za duży był nasz dom, bo składał się z trzech mieszkań.

Widocznie nie mogło być inaczej.

*

W łóżku Hanny wylądowałem dlatego, że była cierpliwa jak Brutus. Wiernie czekała, aż skończę liceum i będę pełnoletnim facetem. Powtarzam: dla własnego dobra nie przekraczaliśmy granic. Cztery lata pisania listów, intymnych zwierzeń. Pisarz i czytelniczka. Barter z gatunku najuczciwszych.

Zaprosiła mnie do siebie na sobotnie popołudnie. Oboje wiedzieliśmy, jaki jest cel spotkania. Żadne z nas nie udawało, że przychodzę na herbatę albo żeby porozmawiać o Sienkiewiczu i Nałkowskiej.

Zanim zrobiliśmy sobie coś bardzo pięknego, zanim wpuściła mnie dalej niż do korytarza, nawet zanim zdążyliśmy się przywitać – szybkim ruchem zdjęła bluzeczkę. A pod spodem chudziutkie ciało, jej ciało trzydziestokilkuletnie o gładkiej skórze, która dawno nie widziała słońca, o wydatnych obojczykach, o łopatkach nieco zbyt opuszczonych, jakby się chciała skulić w sobie, jakby się chciała pokazać kochankowi i ukryć przed kochankiem jednocześnie. A zwieńczeniem tego obrazu spod bluzeczki – tylko jedna pierś, prawa, mała, niezdolna, żeby przewyciężyć siłę grawitacji, ale jeszcze dosyć jędrna. A w miejscu lewej – blada, płaska szrama, blizna, ślad po szwach spinających ciało i nic więcej. I wtedy pomyślałem, że każdy człowiek na świecie nosi w sobie jakiś brak i jakąś pustkę. Nie w imię solidarności międzyludzkiej, ale że to kara za grzechy ojców szaleńców, dziadków

pijaków, babć owładniętych demencją i matek smutnych, rozplakanych o każdej porze dnia i nocy.

- Nie wpuszczę cię dalej, dopóki nie powiesz, że jestem piękna.
- Jesteś piękna, Hanno, najpiękniejsza na świecie.

Wszędzie, w korytarzu i w pokoju, walały się książki, kupki książek jak przycupnięte zwierzęta, a my między nimi wiliśmy sobie gniazda i leża. Pachniało potem i pożółkłymi kartkami.

A później już tylko leżeliśmy, ścięci z nóg zaspokojeniem, leżeliśmy obok siebie na wznak, łóżko za wąskie, nieprzywykłe do dźwigania dwojga ludzi, moje ciało męskie i silne, i młode, a jej słabe i zniszczone, niekompletne, niesymetryczne.

– Miałam dwadzieścia lat. Rak piersi w tym wieku, to jak wygrać na loterii, wielkie szczęście. – Zaśmiała się gorzko.

– Wszystko się posypało. Zawsze byłam bardzo skryta i wstydliwa, a po mastektomii przestałam się umawiać z chłopakami. Bałam się, bardzo. Strach jest najgorszym wrogiem człowieka, bo krępuje ruchy. Oczywiście miałam później jakieś epizody z mężczyznami, ale... Mógłbyś mnie dotykać, kiedy o tym mówię? O, tutaj, dziękuję. No więc były epizody, ale strach paraliżował. Dochodziło do zbliżeń, ale zwykle nie zdejmowałam koszulki i stanika. Trudno trafić na kogoś, kto to zaakceptuje na dłuższą metę i nie zacznie tego uznawać za idiotyczny fetysz. No i przecież w ogóle nie jestem urodziwa, nigdy nie byłam, a moja matka taka piękna, ojciec przystojny... Przestań, nie mów tak, wiem, że nie jestem urodziwa. Dlatego byłam w szoku, że ktoś taki jak ty, śliczny chłopiec, mężczyzna... Byłam w siódmym niebie, kiedy przeczytałam twój pierwszy list. Nie dlatego, że przystojniak zwrócił na mnie uwagę, byłeś przecież taki młody – zachwyciło mnie, jak pięknie potrafisz pisać. Strasznie mnie to kręciło. Jakbym czytała powieść w odcinkach, rozumiesz? Ale

taką naturalistyczną, wyrwaną z wnętrzości, a nie cyzelowaną pod gusta. No i dla mnie, dla nikogo innego. Mam całe pudło twoich listów, wyciągam je z szafy, kiedy czuję się naprawdę samotna. Tak, to był romans, na który mogłam sobie pozwolić. Wiesz, ile razy marzyłam, żeby cofnąć się w czasie i przeżyć te piętnaście lat normalnie, z dwiema piersiami, z odwagą i podniesioną głową? Być gotową na zaloty, odwzajemniać je, chodzić na randki, zrywać z facetami, zdradzać ich, rzucać, rozpoczynać nowe związki... Byłam przeraźliwie samotna, zahukana – i nawet jeżeli trafiał się jakiś chłopak, to udawałam, że nie jestem zainteresowana. Panicznie bałam się rozczarowania w oczach mężczyzn, gdy poznają prawdę o mnie. Chcę, żebyś powiedział, że mnie rozumiesz.

Przytaknąłem.

Miałem zdrowe, silne ciało i budziłem zazdrość. Za to w środku siedziała zgnilizna. Hanna na odwrót – wewnątrz miała piękne i urodziwe, ale bardzo, bardzo wstydziła się powłoki, która to wewnątrz okrywa.

Jej skóra miła w dotyku, pokryta gęsią skórą, sutek twardy. Zamknęła oczy. Wzięła głęboki oddech, jakby chciała mówić dalej, ale zamilkła. A wtedy ja zacząłem opowiadać Hannie o tym, że to, co nas w życiu spotyka, nie jest dziełem ślepego przypadku ani zrządzenia losu.

– Więc wszystko stało się tylko po to, żebyśmy teraz mogli obok siebie leżeć? – zapytała. – Nie przestawaj dotykać, proszę.

– W pewnym sensie. Ale dzisiejsza noc nie jest punktem kulminacyjnym. To tylko kolejny odcinek drogi, jeszcze jeden punkt, który należy odhaczyć. I ze spokojem czekać na następne dni.

Nie wiem, czy zrozumiała mnie właściwie, ale uśmiechnęła się.

– I nie przeszkadza ci to, jak wyglądam?

– W ogóle. Ani trochę. Piękna jesteś, dojrzała, mądra.
– A pierś? A siwiejące włosy? Jestem bardzo brzydka, powiedz, często myślałeś, że jestem szkaradna?

– Przestań. Jesteś najpiękniejsza z plemienia amazonek.

Uśmiechnęła się znowu. Wiedziała, że mówię prawdę.

– Tylko jednego się boję – podjąłem po chwili ciszy. Odwróciła ku mnie głowę, ja wciąż patrzyłem w sufit. – Że wiesz o mnie wszystko. A wiedzieć o kimś wszystko, to zdecydowanie za dużo.

Nie w tym rzecz, co do Hanny pisałem – bo pisałem prawdę i tylko prawdę, i dobrowolnie godziłem się na to, by mnie poznała dobrze, lepiej niż ktokolwiek na świecie. Ale nawet w najszerszych relacjach przyjacielskich, nawet podczas spowiedzi, jakoś podświadomie staramy się zachować okruszek tajemnicy o samych sobie, chociażby przez dobór słów, przez przecinek zamiast kropki, przez wielokropek zamiast przecinka albo poprzez intonację, głos rozedrgany, wzrok umykający, przeciągłe westchnięcie – to się dzieje samo w ramach instynktu samozachowawczego. W tych zbyt cichych szeptach, we wzroku wbitym tu albo tam próbujemy szukać usprawiedliwienia dla samych siebie. Zgrzeszyłem myślą, mową, uczynkiem, zaniedbaniem, ale czy to moja wina? Czy to moja bardzo wielka wina? No bo przecież gdyby ojciec, gdyby matka albo gdybym ja wtedy wiedział, gdybym się nie przestraszył, gdyby nie kłody pod nogami, gdyby nie nieprzychylny świat... Szukamy pocieszenia, usprawiedliwienia. Odpychamy grzechy, szukamy sojuszników w drodze na manowce.

A ona była bardzo domyślna, wypełniała luki, dopowiadała niedopowiedzenia. Miała czas, wieczór po wieczorze, tydzień po tygodniu, rok po roku. Czytała zwierzenia, układała kłocuszki, moja prywatna spowiedniczka. Hanna Gawron, załęczniona

i piękna urodą niepiękną, umiała czytać między wierszami i wydobywać z tekstu nie tylko esencję, ale coś więcej, coś, co unosiło się ponad.

Weszła do mojej głowy, bo otworzyłem drzwi, rozsiadź się, powiedziałem, a Hanna przyjęła tę propozycję z radością, bo całe życie czekała na podobną okazję. A miniony czas stał pod znakiem bólu i upokorzeń, więc teraz sądziła, że dobre chwile, piękne listy ode mnie i seks – że to zadośćuczynienie.

Ale nikomu nie powinno się pozwalać na wejście sobie do głowy, choćby się nie miało niczego do ukrycia. Bo to sfera najprywatniejsza. Tam w środku mieszka prawdziwa nagość i obezwładniający wstyd, i wszystko, co najpiękniejsze, i wszystko, co najbrzydsze. Cała szpetota ludzka nie kryje się w rzadkich włosach, ani w szramie po piersi, ani w prawej piersi obwisłej, ani w krzywych zębach – tylko właśnie gdzieś w zakamarkach serca.

Noc była ciepła. Hanna zasnęła i spała twardo, oddychała spokojnie.

A ja nie zmrużyłem oka. Tej nocy postanowiłem zabić ojca.

Okładka:
Adam Walas

Zdjęcie autora:
Agnieszka Fiejka

Redakcja i korekta:
Janina Koźbiel, Jan Koźbiel

Skład i łamanie:
MJK

ISBN 978-83-62247-83-7
[fragment]

Wydawnictwo JanKa
ul. Majowa 11/17
05-800 Pruszków
694 536 051
wydawnictwo@jankawydawnictwo.pl
www.jankawydawnictwo.pl

Bo to jest właśnie moja słabość: muszę wyrzucać wszystkie złe emocje, które kłębią się w duszy, kłusają i zatrują. Inaczej umrę. Albo zrobię sobie krzywdę. Albo zamarznię na kość. Który wariant wolałaby Pani? Mnie przerażają wszystkie.

Hubert Fryc, *Sztuka noszenia masek*, s. 67.

Bohater powieści Fryca rodzi się z ojca alkoholika i zdaje się sądzić, że każdy ma swój los, więc musi go wypełnić, punkt po punkcie – od narodzin aż po sam koniec. I że nie ma miejsca na wolną wolę człowieka. Ale podświadomie próbuje się wymknąć tej wizji. Bezustannie prowokuje, bada siłę krępujących go więzów, wykorzystując do tego kolejne związki z otoczeniem, potęgując dramatyzm relacji, sprawdzając, czy scenariusz jest domknięty, czy jednak da się w nim znaleźć jakieś szczeliny, choćby przez tworzenie literatury. Podejmowane gry i zakładane maski są jak uniki, chronią przed ryzykiem prawdziwych zapasów ze światem. *Sztuka noszenia masek* to opowieść o zagadkach przeznaczenia, o źródłach twórczości, o walce woli życia z instynktem śmierci. A także o mrozie, który skuwa serca.

Czy ta dramatyczna historia, swoista kolekcja nieszczęść, może w ogóle przynieść jakieś ukojenie? Nie mam pewności. Wiem natomiast, że Hubert Fryc proponuje książkę niebanalną, bardzo wyrazistą, która pozostawia trwały ślad w czytelniku. To zjawiskowo napisana lektura obowiązkowa.

Kinga Młynarska, Przeczytane, napisane

To powieść, list i spowiedź pełna ambiwalencji, która w swoich najlepszych fragmentach wywraca na nice zbanalizowany obraz rodziny czy literatury jako niezawodnej formy terapii. Bo fikcja może być zarówno siłą, jak i niebezpieczeństwem, lekiem tymczasowego uśmierzenia. Proszę przygotować się na prozę do bólu prawdziwą.

Marek Olszewski, Czytelnia osobista

Cena: **32,00 zł**



górowianka